



tekst

KS. DARIUSZ JAŚLARZ

redaktor wydania

W telewizji ciągle trąbią o ociepleniu klimatu. Ja tam nie wiem, gdzie jest za ciepło! Siedząc z kapturem na głowie, owinięty w kocyk czuję, że w naszej diecezji w te wakacje ciepło i słońce chyba nas nie polubiły. Polubił nas za to deszcz i sztorm. Przyjeżdżający goście chcieliby poczuć się jak na Florydzie – o czym pisze Jacek Cegła na stronie VII – a tu nic! Ale czy wiedzą Państwo, że właśnie w sztormową pogodę morze oddaje mnóstwo ożywczego jodu? Zatem i tak warto pomaszerować na plażę. Oczywiście z „Gościem Niedzielnym”. Znajdziecie w nim Państwo dużo ciepła. Można wejść w klimat „Przystanku Jezus”, który towarzyszył głośnej imprezie „Przystanek Woodstock” (str. III). A jeśli i to nie wystarczy, można przeczytać o życiu Włoszki, która zamieszkała w Koszalinie. Choć minęło wiele lat, od czasu gdy opuściła ojczyznę, wciąż za nią tęskni. Ale Koszalin uważa już za swoje miasto. Pisze o tym Jarek Jurkiewicz. Jeśli nie lubicie Państwo dużych fal, proszę przenieść się nad nasze jeziora. Jest ich tu bez liku. Na Pojezierzu Waleckim, w Wąlczu można natrafić na całkiem oryginalną wystawę. Jaką? O tym pisze Beata Stankiewicz na stronie VIII. Zapraszam do lektury.

Do koszalińskiego seminarium przyjechało ich 45. Wszyscy chcą lepiej posługiwać przy ołtarzu.

Dlaczego pierwsze rekolekcje dla ministrantów odbyły się w Wyższym Seminarium Duchownym w Koszalinie? – Nie jest tajemnicą, że najczęściej z ich grona rodzą się powołania do kapłaństwa. Do tego, to w tym miejscu chłopcy mogą poznać wzorcową liturgię. Ale najważniejsze jest to, by pokazać im ją w kontekście wiary. Seminarium jest do tego idealne. To nie jest dobre słowo, ale można mówić o „magii” miejsca – wyjaśnia ks. Andrzej Zaniewski, organizator i guru dla chłopaków.

Na rekolekcjach sprawy mają się poważnie. Podczas spotkań w grupach chłopcy rozmawiają ze sobą o Ewangelii z każdego dnia. Uczą się postaw liturgicznych, łacińskich komend wydawanych przez ceremoniarza, wagi ciszy i spokoju w trakcie nabożeństw. Interesują ich najdrobniejsze detale potrzebne do wzorowej służby przy ołtarzu. Łatwo nie jest. Na koniec trzeba zdać egzamin, by uzyskać certyfikat. Niektórzy mają poprawkę, ale się nie martwią. Wszystko było bardzo ciekawe, przydatne, no i nie dla każdego...

– Przyjechałem się dokształcić. Mój kościół jest malutki i jest nas niewielu. Moją specjalnością jest chodzenie z trybularzem (kadzidło). Teraz już wiem, jak wszystko poprawnie wykonać – mówi Bartłomiej Furtak z Nielepu z parafii

pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w Lipiu. We wszystkich chłopakach widać pasję. W drodze z seminarium do refektarza, śpiewają po łacinie. Drą się na całe gardło, a że fałszują... Podczas szkoły śpiewu i tak dokonali cudu. Jeszcze lepiej śpiewali (i tańczyli!) przy ognisku i innych pogodnych chwilach. Tych też było nie mało.

– W zdecydowanej większości, nasza diecezja to małe parafie, w których służy po dwóch, trzech ministrantów. Te rekolekcje dały im okazję doświadczenia większej wspólnoty. Poznawali oni piękno liturgii. Stawali się nie tylko lepszymi ministrantami, ale przede wszystkim ludźmi – podsumowuje rekolekcje bp Edward Dajczak, który odwiedził ministrantów w niedzielne przedpołudnie.

Ks. Dariusz Jaślarz

Pamiątkowe zdjęcie. Biskup Dajczak był zachwycony postawą ministrantów



DANIEL NIEDZIELNY

Belgard wczoraj i dziś



W czasie wystawy można było podziwiać połowę zbioru kolekcjonera Adama Teżyka. Amatorów nie brakowało

KULTURA. Galeria Sztuki w Bramie Wysokiej otworzyła wystawę przedstawiającą Białogard na starych pocztówkach. Kolekcjoner i rodowity białogardzianin Adam Teżyk od ponad 15 lat powiększa swój zbiór. Obecnie jego kolekcja liczy około 320 oryginalnych pocztówek z przełomu XIX i XX wieku. Najstarsza sztuka pochodzi z roku 1898. Pasja pana Adama rozpoczęła się w szkole średniej, gdy dostał pierwszą widokówkę. Pan Adam nie ogranicza się jedynie do kolekcjonowania pocztówek. Zbiera tak-

że stare butelki, zdjęcia, medale, odznaczenia, listy i dokumenty, wszystko, co związane z Białogardem (Belgardem). W zeszłym roku mieszkańcy miasta mogli podziwiać „Pamiętki z życia dawnych mieszkańców Białogardu”. W czasie wystawy Adam Teżyk zaprezentował swój bogaty zbiór, który następnie przekazał białogardzkiemu muzeum. Wystawa „Białogard wczoraj i dziś” czynna jest do końca września. Ekspozycję można oglądać od wtorku do piątku w godzinach od 11 do 17. jt

Rodzinna zabawa na trzeźwo



Łukasz z Opola zdobył główną nagrodę w loterii fantowej – rower

DIECEZJA. W Koczale po raz kolejny odbył się festyn rodzinny „Bawmy się na trzeźwo”, zorganizowany przez Gminną Komisję Rozwiązywania Problemów

Alkoholowych, parafię pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny oraz Gminny Ośrodek Kultury w Koczale. Główną atrakcją były występy Agencji Artystycznej Dobry Teatr z Poznania z przedstawieniem „Podróż dookoła świata z wesołymi piratami” oraz zespołu muzycznego Ad Libidum ze Słupska. Dzieci chętnie dały się porwać piratom w podróż dookoła świata, której towarzyszyły liczne konkursy i zabawy. Atrakcją było malowanie twarzy oraz nauka chodzenia na szrudłach. Prócz zabaw organizatorzy zadbał także o małe co nieco. Członkinie Caritas, Akcji Katolickiej i parafialnego chóru przygotowały domowe ciasta, pyszne pierogi, chleb ze swojskim smalcem i kiszonym ogórkiem oraz kiełbaski i kaszankę z grilla. Dochód z festynu zostanie przeznaczony na remont elewacji kościoła parafialnego w Koczale. kmg, jm

Piłka nożna w każdym wieku

DIECEZJA. Rozpoczyna się kolejny półfinałowy obóz szkoleniowy największego ogólnopolskiego Turnieju Piłki Nożnej dla dzieci „Z podwórka na stadion o Puchar Tymbarku”, czyli Mistrzostw Polski dziewcząt i chłopców w kategorii U-10. Po zakończeniu wojewódzkich rozgrywek turnieju, została wyłoniona najlepsza drużyna dziewcząt oraz chłopców, która pojedzie na obóz szkoleniowy. Województwo zachodniopomorskie reprezentować będą dziewczęta z Wałcza oraz chłopcy ze Szczecinka. Przed nimi mecze półfinałowe w Kluczborku, które zdecydują o awansie do Wielkiego Finału

i szansie zagrania o najważniejsze turniejowe nagrody: Puchar Tymbarku, tytuł Mistrzów Polski U-10 oraz spełnienie marzenia każdego fana piłki nożnej – wyjazd na osławiony stadion Ajaksu Amsterdam. Podczas obozów szkoleniowych każda drużyna, pod okiem profesjonalnych trenerów zespołów młodzieżowych, będzie na treningach doskonalić swoje futbolowe umiejętności. To szansa na doszlifowanie formy i podniesienie poziomu gry przed zbliżającym się Wielkim Finałem. Dla trenerów to okazja do wyłonienia największych piłkarskich talentów wśród dziesięciolatków. jt



W rozgrywkach turnieju „Z podwórka na stadion o Puchar Tymbarku” najlepsza okazała się drużyna chłopców ze Szczecinka (na zdjęciu) i dziewcząt z Wałcza

Charytatywnie na promenadzie

USTKA. Prawie 10 tys. zł zebrali organizatorzy IX Dobroczyńnego Pikniku Integracyjnego na Rzecz Osób Starszych i Samotnych, który odbył się na promenadzie w Ustce. Imprezę zorganizowało Stowarzyszenie Pomocy „Bene Vita”. – Cała kwota zostanie przeznaczona na zorganizowanie wolnego czasu dla naszych seniorów. m.in. na wyjazdy do teatru oraz wieczór wigilijny – informuje Alicja Roguszczak, prezes stowarzyszenia. Uczestnicy pikniku mogli kupić m.in. pyszną grochówkę czy pajdę chleba ze smalcem i ogórkiem. Każdy, kto chciał, mógł bezpłatnie zmierzyć ciśnienie i poziom cukru we krwi. Swoje stoiska wystawili również handlarze staroci. Kolekcjonerzy

antyków mieli naprawdę w czym wybierać. W trakcie imprezy przeprowadzono loterię fantową. Do wygrania był m.in. telewizor LCD i sprzęt AGD. W pikniku wzięli udział mieszkańcy Ustki i wypoczywający w kurorcie turyści, którym szczególnie przypadł do gustu występ zespołu Gzube z Kaszub. jc

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@gosc.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniewców 11-13
TELEFON (94) 341 03 14
REDAGUJA: ks. Dariusz Jaślarz
– dyrektor oddziału, Julia Markowska,
Karolina Pawłowska, Justyna Tylman

Nasi diecezjanie ewangelizowali w Kostrzynie nad Odrą

Przystanek z krzyżem

– Przed chwilą się wypowiadałem. Nie robiłem tego od lat. Teraz jest mi lżej – mówił Michał Gzyl z Jaworzyny na Dolnym Śląsku.

Michał był jednym z ponad 700 tysięcy młodych ludzi, którzy od 4 do 6 sierpnia przyjechali do Kostrzyna nad Odrą. Przyciągnął ich Przystanek Woodstock. To jeden z największych w Polsce i Europie festiwali rockowych. W tym roku zagrały na nim m.in. The Prodigy, Luxtorpeda, Apteka, Arka Noego. Imprezę organizuje Jerzy Owsiak, to forma podziękowania tysiącom wolontariuszy, dzięki którym na początku roku odbyła się Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

Festiwalowi rockowemu od 12 lat towarzyszy Przystanek Jezus. To ewangelizacyjna akcja, którą wymyślił bp Edward Dajczak, biskup koszalińsko-kołobrzeski. W tym roku PJ odbył się pod hasłem „Nowa Pięćdziesiątnica – Nowa Ewangelizacja”.

Woodstockowicze różnie reagowali na widok wioski PJ. Byli tacy, którzy potrafili powiedzieć do ewangelizatorów kilka „soczystych” słów. Jednak zdecydowana większość uczestników PW nie widziała nic złego w tym, że na woodstockowym polu są księża i świeccy ewangelizatorzy, z którymi można porozmawiać, nie tylko o Bogu.

– Super, że jest tu Przystanek Jezus. Ten kto mówi, że Kościół powinien zamknąć się tylko w budynku ma kompleksy – mówi Agnieszka Kliszczak z Gorzowa Wielkopolskiego. – Ludzie, których tu spotkałam są normalni jak my. O Bogu trzeba mówić naturalnie, bez pompy, która ludzi zraża – dodaje.

Najtrudniej zacząć

Do Kostrzyna przyjechało z całej Polski ponad 600 ewangelizatorów. Gdy tylko następowala przerwa w koncertach, wychodzili oni na woodstockowy plac. Każdy sposób na rozpoczęcie rozmowy z uczestnikami Przystanku był dobry. Można zagadać o fajne kapele, zatańczyć, albo zaprosić na pokaz filmu do wioski PJ. Pomysłowość uczestnikom PJ nie można było odmówić. – Potem były rozmowy, najczęściej w cztery oczy, które wielokrotnie kończyły się przyjęciem Jezusa Chrystusa jako Pana i Zbawiciela – opowiada Magda Plucner z Koszalina.

Ale ewangelizatorzy nie rozmawiali tylko o Bogu. Ostrzegali przed uzależnieniami, radzili, jak uniknąć wykłuzienia społecznego.



Od 12 lat ewangelizatorzy przyjeżdżają na Przystanek Woodstock

I zapraszali woodstockowiczów na ciekawe imprezy, które odbywały się w wiosce Przystanku Jezus.

Biskup Edward na Przystanku

Zanim ewangelizatorzy ruszyli na woodstockowe pole przez trzy dni uczestniczyli w warsztatach i rekolekcjach, które poprowadził bp Edward Dajczak. Biskup koszalińsko-kołobrzeski od początku towarzyszy inicjatywie. – Kościół nie może być tylko w murach. Przesłanie Ewangelii dotyczy życia, a ono nie ogranicza się tylko do pójścia do kościoła. Katolicy powinni być tam, gdzie się toczy życie – powiedział biskup w rozmowie z GN. – Przystanek Woodstock jest jednym wielkim targowiskiem, na którym – począwszy od koncertów i przesłań zawartych w piosenkach, a na różnych grupach, także religijnych, kończąc – ludzie dzielą się pomysłami na życie. To wszystko razem tworzy gamę propozycji. Tu nie może zabraknąć świadectwa katolików, bo inaczej proponowana rzeczywistość byłaby uboższa o największą wspólnotę wiary. Dlatego Kościół powinien być tam obecny poprzez swoich przedstawicieli duchownych i świeckich – tłumaczył bp Dajczak.

Live z Przystanku

Do wioski Przystanku Jezus, nad którą górował charakterystyczny biały krzyż, w tym roku zawiła nowa jakość. Był barwny korowód przez pole, modlitwa, świadectwa, filmy, scenki, śpiew, koncerty i tańce. Były też

zupełnie nowe punkty programu np. „Gość Przystanku Jezus”. Na telebimie pokazywano m.in. świadectwa znanych osób, np. Przemysława Babiarza.

To, co się działo w Kostrzynie, można było śledzić za pośrednictwem strony internetowej, profilu na Facebooku, a także dzięki internetowemu Radiu Przystanek Jezus. W tym roku dołączyła telewizja TV Odnova. – Pokazujemy na żywo to, co się dzieje w kościele i na woodstockowym polu – tłumaczy Wojciech Cieślowski z Koszalina. Każdą relację oglądało średnio od 3 do 4 tys. widzów. – Katolicy powinni być i są w internecie – zauważa ks. Krzysztof Witwicki, diecezjalny koordynator Odnowy w Duchu Świętym i członek ekipy telewizyjnej na PJ.

Co im w duszy gra?

Ks. Witwicki nie tylko czuł nad dźwiękiem i połączeniem internetowym, ale rozmawiał także z woodstockowiczami. – Widać, że ci ludzie są czasem dotknięci przez życie. W rozmowie ta rana nagle się otwiera, wszystko z siebie wyrzucają, a potem są gotowi słuchać. Wielu ludzi, którzy co tydzień przychodzą do kościoła, nie ma tyle odwagi, żeby powiedzieć, co ich cieszy, a co boli – zauważa ks. Witwicki.

– Ludzie na Woodstocku są otwarci i bezpośredni – mówi ks. Rafał Jarosiewicz, dyrektor Szkoły Nowej Ewangelizacji z Koszalina. – Dużo trudniej rozmawiać o Bogu z kimś na przystanku autobusowym. A przecież każdy chrześcijanin jest wezwany do tego, aby głosić Dobrą Nowinę – dodał. Krzysztof Król

LUDZKIE HISTORIE.

Od ponad 60 lat Lucia Pionke tęskni za rodzinnym domem nad Adriatykiem i pogodnym niebem nad środkowymi Włochami. – Ale moje dzieci żyją w Koszalinie i tu są groby najbliższych. Już się stąd nie ruszę.

tekst

JAROSŁAW JURKIEWICZ

jaroslaw.jurkiewicz@gosc.pl

Niewielkie mieszkanie na piątym piętrze wieżowca. Kawalek Włoch w centrum Koszalina. W telewizji spikerka stacji RAI 1 w ekspresowym tempie podaje najświeższe wiadomości. Na ścianach oprawione fotografie Rzymu, Wenecji i Florencji. W kuchni parzy się włoskie espresso.

Pani Lucia uciera krem. – Ta kawa to nasza włoska specjalność. Wstaję o szóstej rano i zaczynam od espresso. Dodaję kieliszek koniaku. Mama też tak robiła – opowiada. – I słucham wiadomości telewizji RAI. Czasem stamtąd wiem szybciej, co się dzieje w Polsce – śmieje się.

Moje miasto Altidona

Jest wiosna 1947 roku, Ankona w środkowych Włoszech. 20-letnia, szczupluka Lucia Pionke, z domu Nepi, pozuje do zdjęcia z mężem Alfredem. On jest Polakiem, ma na sobie mundur Armii Andersa. Ona – jasny płaszcz i gustowną torebkę. To jedno z ostatnich zdjęć zrobionych w ojczyźnie Lucii. Powiększone wisi w pokoju wieżowca w centrum Koszalina.



Włoszka z Koszalina



Lucia Pionke – portret z lat 60. XX wieku
PO PRAWIE: Lucia i Alfred z córkami

Poznali się prawie dwa lata wcześniej w miasteczku Altidona nad Adriatykiem w regionie Marche. Tu Lucia się urodziła i dorastała. Pamięta dziadka, który miał długie, sumiaste wąsy i 190 cm wzrostu. W kieszeni marynarki

nosił zawsze zegarek na łańcuszku i mówił o sobie, że jest panem. Babcią była niziutka. Urodziła 13 dzieci, ale dorosłego wieku dożyła siedmiu, w tym tato Lucii. – Umarł w 1946 roku. Trudno było go pochować, via Adriatica była zbombardowana i panowała wielka bieda.

W dzieciństwie nie interesowała się polityką, choć stale słyszała nadawane w radiu przemówienia Mussoliniego. Zapamiętała też widok esesmanów, wspomaganych przez miejscowych faszystów, którzy pilnowali „porządku” w regionie w ostatnich latach wojny. Często słyszała też o aliantach, którzy maszerują wzdłuż Adriatyku i zbliżają się do miasteczka. Do głowy jej wtedy nie przyszło, że wkrótce poślubi jednego z alianckich żołnierzy.

W okolicznych górach ukrywali się partyzanci. – Jeśli z ich rąk zginął jakiś Niemiec, musiało zginąć dziesięciu młodych chłopaków. Hitlerowcy kazali rodzicom patrzeć

na egzekucje i klaskać. Wojna to był koszmar – opowiada pani Lucia.

Mimo tych koszmarnych wojennych wspomnień, pani Lucia jest przekonana, że jej region jest najpiękniejszy we Włoszech. Zielen, góry i morze. – Altidona leży na wysokości 225 metrów, 4 kilometry od ciepłego Adriatyku! W dzieciństwie prawie codziennie biegaliśmy na plażę. Coś pięknego! Ale zrozumiałam to dopiero w Polsce. W Bałtyku nigdy się nie kąpałam, za zimny! – mówi pani Lucia.

Na audycji u Piusa XII

Alfred Pionke pochodził z nad polskiego, zimnego morza i wiele kilometrów musiał przebyć, zanim wrócił nad ukochany Bałtyk. W 1942 roku w Gdyni został wcielony do Wehrmachtu. W czasie walk w Afryce dostał się do niewoli brytyjskiej i jak większość rodaków zgłosił się do tworzonej na Bliskim Wschodzie Armii Polskiej. W pierwszych tygodniach 1944 roku wraz z 3. Dywizją Strzel-

ców Karpackich desantował się na południe Włoch. W maju 1944 roku walczył o wzgórze Monte Cassino. Potem było przełamanie linii Gustawa i walki nad Adriatykiem. Zdobywał Pescarę, Ankonę i Loreto. Ostatni bój stoczył o Bolonię.

Po wojnie polskie dowództwo wojskowe odznaczyło bombardiera Alfreda Pionkego Krzyżem Walecznych 1945 i Krzyżem Monte Cassino 1945. Brytyjczycy uhonorowali go zaś Gwiazdą Italii 1945 oraz Gwiazdą za wojnę 1939–1945. – Wszystkie odznaczenia przechowuję jak największe skarby. Przekazę je kiedyś wnukowi – dodaje pani Lucia.

Tuż po wojnie Anglicy okupujący Półwysep Apeniński założyli w Altidonie obóz wojskowy. Trafia do niego także część Karpaczczy-



ków. – Mój przyszły mąż szkolił się tu i odpoczywał. Poznaliśmy się i pokochaliśmy.

W połowie 1946 roku odbył się skromny ślub. Zimą, samochodem wynajętym przez baterię wojskową, państwo Pionkowie jadą w podróż

18 maja 1994 r. – obchody 50. rocznicy bitwy o Monte Cassino. Alfred Pionke (na wózku) w otoczeniu koszalińskich kombatanów. Trzeci z lewej Tadeusz Przeglaliński – żyjący do dziś uczestnik walk, wspominany w powieści przez Melchiora Wańkowicza

poślubną do Rzymu. Z pięcioma innymi parami zostają przyjęci na audycję prywatnej przez papieża Piusa XII. Alfred ma na sobie mundur Armii Andersa, Lucia – czarną sukienkę i czarny welon. – Klęczeliśmy. Papież pozdrowił męża po polsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. To było ogromne przeżycie.

Wcześniej Alfred pojechał do Anglii, gdzie po wojnie osiadł jego brat (dwaj pozostali bracia zostali we Francji). Anglicy nie chcieli jednak przyjąć u siebie polsko-włoskiego małżeństwa. Byli żołnierze gen. Andersa mieli do wyboru trzy miejsca, w których mogli rozpocząć powojenne życie: południową Afrykę, Argentynę (tam, jak mówi pani Lucia, Włoszki miały bardzo złe życie) i Polskę. Wielu kuzynów Alfreda osiedliło się w okolicach Piły: Białośliwie, Krajanka, Złotów. – Mąż postanowił więc, że i my pojedziemy do Polski. Mówił, że tu jest praca – wspomina.

Do dziś pamięta rozpacz matki na wieść o tym, że córka jedzie do obcego, opanowanego przez komunistów kraju. – A ja byłam młodą dziewczyną. Miałam 21 lat. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się z nami dzieje.

Za żelazną kurtyną

W październiku 1947 roku, z urodzoną we Włoszech niespełną półroczną córką Antonietą państwo Pionkowie dotarli do Złotowa. – I tak opadła za nami żelazna kurtyna. Musiałam oddać włoskie dokumenty, zrzec się obywatelstwa.

Przybyszcze z Włoch władze zmieniły nawet imię. Odtąd więc musiała podpisywać się jako Łucja.

Obcy kraj, obcy język, obcy ludzie i tradycja. I ten nieprzyjem-

ny klimat. – We Włoszech była ciepła jesień, a tu prawie Syberia. Na początku ciągle chorowałam – wspomina. – Rozpaczałam, rwała włosy z głowy. Nic nie dało się już zrobić.

W 1947 roku Włochy dźwigały się ze zniszczeń, plan Marshalla już wchodził w życie. A Polska była w ruinie: żywność na kartki, pustki w sklepach, czarny chleb.

Słodkie melony, dorodne pomarańcze i oliwki – ten obraz ojczyzny był już tylko wspomnieniem. Ale trudniejsza do zniesienia okazała się tęsknota za pozostawionymi na południu bliskimi – mamą i czwórką rodzeństwa. Zwłaszcza, że stalinowskie władze niechętnym okiem patrzyły na cudzoziemkę, a jeszcze bardziej podejrzliwie traktowały byłego żołnierza Armii Andersa. – Mąż był kartografem, pracował w geodezji w Złotowie. Nie chciał zapisać się do partii, po kilku latach wyrzucili go z pracy. Mówili, że jesteśmy antykomunistami. Ja nie miałam szans na pracę, nie znałam języka.

Gdy w 1950 roku Koszalin został stolicą województwa, Alfred Pionke dostał pracę w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. – Mieszkaliśmy nad dawną restauracją Bałtyk w kamienicy przy ulicy Zwycięstwa. Ubecy nie dawali nam spokoju. Wieczorami stawali po drugiej stronie ulicy i przez lornetkę obserwowali, co robi mąż. Kilka razy wyrzucali go z pracy.

W Koszalinie urodziła się jeszcze jedna córka Hanna Rita (dziś jest inżynierem po koszalińskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej i tłumaczem technicznym języka włoskiego). Kiedy dzieci poszły do szkoły, mama wraz z nimi poznawała zasady języka polskiego. Później z kolei bywało, że władze prosiły ją o tłumaczenie polsko-włoskich ślubów. Kiedy z Włoch przyjeżdżali myśliwi do Polanowa, też pomagała w tłumaczeniach.

W domu rozmawiali na zmianę po włosku i po polsku. – Mąż znał też biegle angielski i niemiecki. Był humanistą. Miał talenty manualne.

Kawa i świeże powietrze

Przez prawie 10 lat sporadycznie pisane listy stanowiły dla pani Pionke jedyne kontakty z matką i rodziną w Włoszech. Dopiero po politycznej odwilży w 1956 roku,

DOKOŃCZENIE NA S. VI >

> DOKOŃCZENIE ZE S. V

władze pierwszy raz pozwoliły jej odwiedzić bliskich za granicą. Pojechała na pół roku z córkami. – Kiedy wróciliśmy, nie umiały mówić po polsku – wspomina pani Lucia.

Pamięta ten kontrast: elegancko, kolorowo ubrane Włoszki i szara ulica w Polsce. – Mamie było mnie żal, biednie wyglądałam. Widziałam w jej oczach ten smutek. Pomagała mi, jak mogła.

Po pierwszej wizycie dostała w prezencie jasny kostium i buty na szpileczkach. – W Koszalinie ludzie się za mną oglądali – opowiada starsza, elegancka pani. I dodaje z uśmiechem: – Jestem przecież typową Włoszką. Lubimy być ubrane skromnie, ale z gustem.

I choć pamięta, że często w kolejce słyszała kąśliwe uwagi: „co ona tu robi, niech jedzie do swojego kraju”, umiała sobie radzić nawet w trudnych czasach siermiężnej komuny. – Kupiłam w sklepie kretonik. W nocy szłam córkom sukieneczki i rano wyglądały elegancko.

Co oprócz mody jest ważne dla Włochów? Oczywiście kuchnia. Pani Lucia pamięta pierwsze lata w Polsce. Nie było pasty pomidorowej ani czosnku. – Kiedy robiłam pizzę, ludzie nie bardzo wiedzieli, co to jest. Tu królowały ziemniaki i kapusta – tłumaczy. Pamięta, że dopiero po latach w polskich sklepach zaczęły pojawiać się warzywa, które pamiętała z Włoch, np. papryka.

Długo nie mogła przyzwycząć się do polskiej kuchni (zbyt dużo wieprzowiny i tłuszczyków). Starła się więc pielęgnować własne tradycje, przygotowywała przede wszystkim ryby. Sama robiła makarony i sosy (tak jest do dziś). Nigdy nie wzięła do ust wódki. – Włosi piją kawę i wino, często przebywają na świeżym powietrzu i dlatego długo żyją. Kiedy u mamy prosiłam o herbatę, pytała, czy jestem chora – mówi z uśmiechem. – Jemy dużo sałatek z warzyw. A owoce i oliwki? To coś pysznego.

Ostatnia wola

Wiele razy odwiedzała Włochy, ale do końca istnienia PRL nie dostała zgody na wyjazd całą rodziną. W 1971 roku, na 25-lecie ślubu, pojechała tam z mężem. Pamięta podróż do Warszawy i rewizję w pociągu. – Mąż pracował przy mapach. SB



– Kiedy słyszę pieśń „Czerwone maki na Monte Cassino”, bardzo się wzruszam – przyznaje pani Lucia, trzymając w ręku czerwono-białą karteczkę, którą co roku w rocznicę bitwy pod Monte Cassino oraz 11 listopada umieszcza na nagrobku męża

PONIŻEJ: Alfred Pionke spoczął na koszalińskim cmentarzu obok ukochanej wnuczki Doroty

obawiała się, że wywozi jakieś dokumenty. Po powrocie też robiła nam przeszukania.

We Włoszech pojechali na Monte Cassino. – Kiedy mąż stanął na wzgórzu, był błady. Znalazł groby kolegów. „Tu stała taka bateria, a tam taka...” – mówił.

W 1985 roku, kiedy mąż był już chory, wybrała się z pielgrzymką do Rzymu. Drugi raz w życiu była wtedy na audycji prywatnej u papieża. – Z Janem Pawłem II rozmawialiśmy po włosku. Prosiłam o modlitwę w intencji męża. Powiedział, żeby go pozdrówić.

Włochy świetnie znają jej córki (Hanna Rita współpracuje przy tłumaczeniach z jedną z włoskich firm). Były tam także wszystkie wnuki. – Muszą wiedzieć, skąd pochodzi babcia.

Jest pogodna, choć rodziny nie omijały dramaty. W 1993

roku niespodziewanie, podczas zajęć na uczelni, zasłabła najstarsza wnuczka, Dorota. Lekarzom nie udało się jej uratować. – Mąż już nie chodził. Rozpacział, że to jego Bóg powinien zabrać, a nie dziewczynę, która zaczyna życie.

Umarł dwa lata później, spoczął obok wnuczki. Ostatnią wolę wyraził w testamencie. Chciał, by podczas pogrzebu został odczytany fragment książki Melchiora Wańkowicza „Bitwa o Monte Cassino”. Prosił też, by na jego nagrobku został wryty Krzyż Monte Cassino. – O, taki – pani Lucia wyjmując kartkę z narysowanym przez męża krzyżem. Idealne proporcje, rów-

ne linie. – Stało się tak, jak sobie życzył.

Co roku w rocznicę bitwy o Monte Cassino na grobie męża ustawia chorągiewkę z informacją, że tu leży uczestnik tych walk.

Pani Lucia wyczekuje soboty, bo telewizja RAI ma emitować film o Pompejach. Co niedzielę o 11.00 słucha Mszy św. po łacinie. To bardzo załamany głosem. – Jest szczyt sezonu, a na prawie wszystkich posesjach kartki z napisem „wolne pokoje”. Ludzie już teraz boją się, że nie będą mieli za co przeżyć zimy...

Podobne narzekania słychać we wszystkich letniskach naszej diecezji. Problemy w rybołówstwie sprawiły, że dla tysięcy ludzi turystyka stała się jedynym źródłem utrzymania.

Gdzie się podzieli tamci turyści

Włodzimierz Wolski, dyrektor biura Lokalnej Organizacji Turystycznej, nie kryje, że w porównaniu do lat ubiegłych, w tym roku przyjechało nad morze mniej wczasowiczów. – Pogoda co prawda nie rozpieszcza, ale nie można wszystkiego zwać na aurę – ocenia. – Nie ma co ukrywać, powoździe na południu kraju zrobiły



Pogoda zmorą branży turystycznej nad Bałtykiem

Słońca nic nie zastąpi

Nadmorscy przedsiębiorcy, którzy żyją z letników, skarżą się, że tak fatalnego sezonu nie było już dawno. – Jak tak będzie dalej, pójdziemy z torbami – załamują ręce.

Tego lata nie widać nad Bałtykiem tłumów wczasowiczów. Większość odstraszyła kapryśna pogoda, deszcz i chłód. Woleli za te same pieniądze pojechać nad Adriatyk, gdzie słońce i ciepło są pewne jak amen w pacierzu. A letnicy, którzy zdecydowali się przyjechać nad polskie morze, nie szastają pieniędzmi. To wszystko frustruje miejscowych, którzy żyją z turystów.

Jadwiga Fudala, sołtys Rowów, codziennie z nadzieją spogląda na niebo. Podobnie jak wielu innych kwaterodawców modli się o słońce. – Tak lichy to jeszcze nigdy nie było – mówi załamany głosem. – Jest szczyt sezonu, a na prawie wszystkich posesjach kartki z napisem „wolne pokoje”. Ludzie już teraz boją się, że nie będą mieli za co przeżyć zimy...

Podobne narzekania słychać we wszystkich letniskach naszej diecezji. Problemy w rybołówstwie sprawiły, że dla tysięcy ludzi turystyka stała się jedynym źródłem utrzymania.

Gdzie się podzieli tamci turyści

Włodzimierz Wolski, dyrektor biura Lokalnej Organizacji Turystycznej, nie kryje, że w porównaniu do lat ubiegłych, w tym roku przyjechało nad morze mniej wczasowiczów. – Pogoda co prawda nie rozpieszcza, ale nie można wszystkiego zwać na aurę – ocenia. – Nie ma co ukrywać, powoździe na południu kraju zrobiły



Włodzimierz Wolski z Lokalnej Organizacji Turystycznej w Ustce przyznaje, że przez fatalną pogodę turyści nie mają co ze sobą począć. – Dlatego stajemy na głowie, by zachęcić ich do aktywnego wypoczynku – mówi

swoje. Poza tym coraz więcej osób wybiera odpoczynek nad Adriatykiem. Płacą prawie tyle samo, a mają zapewnione słońce.

Pani Danuta z Mielna wraz z mężem od 10 lat wynajmuje pokoje gościnne. Z łezką w oku wspomina czasy, gdy miała pełne obłożenie, a turystów, którzy pukali do niej z zniechęcią, musiała odprawić z kwitkiem. – Jeszcze nie tak dawno goście robili z dużym wyprzedzeniem przynajmniej dwutygodniową rezerwację – tłumaczy. – A dziś przyjeżdżają na 2–3 dni. Gdy jest słońce, przedłużają pobyt, a jak wieje i pada – pakują bagaże i wyjeżdżają do domu.

Grażyna Miłowska, szefowa Ośrodka „Wiga” w Kołobrzegu, nie narzeka na brak wczasowiczów. Choć i ona uważa, że ten rok w branży turystycznej do „tłustych” nie należy. – Sądzę tak po liczbie dzwoniących i pytających się o wolne pokoje. Kiedyś było ich znacznie więcej – konstatuje.

Pierogi na topie

O tym, że turyści dwa razy obejrzą każdą wydaną złotówkę,

najlepiej świadczy przykład z Jarosławca. Właściciel smaźalni ryb proszący o zachowanie anonimowości: – Sytuacja sprzed kilku dni: przychodzi do mnie czteroosobowa rodzina, zamawia po herbacie i na oczach personelu zaczyna konsumować przyniesione ze sobą kanapki. I co zrobić, przecież ich nie wyrzucę. Ludzie myślą, że zarabiamy kokosy, a rzeczywistość wcale nie wygląda tak różowo. Z czegoś trzeba utrzymać lokal i opłacić pracowników.

W położonej w centrum usteckiej promenady restauracji „Korsarz”, tuż obok latarni morskiej, tegorocznym hitem są pierogi. Po 8 złotych za porcję. – Turyści oszczędzają na czym tylko się da – nie kryje właściciel wyszynku. – Nasze obroty są odbiciem zasobności portfeli gości. W porównaniu do roku ubiegłego, dochody są jakieś 20 proc. niższe.

Z siatkami na plażę

W nadmorskich kurortach najdłuższe kolejki ustawiają się w popularnych marketach, takich jak „Netto” czy „Biedron-

ka”. – Na promenadzie często widać osoby z siatkami pełnymi produktów z dyskontów – mówi Walczak. – Wczasowicze na potęgę kupują tanie piwo w puszkach, chipsy, pakowaną hermetycznie żywność.

Spostrzeżenia te potwierdza Sławomir Górecki, właściciel usteckiej restauracji „Laguna”. – Wczasowicze nie dość, że borykają się ze swoimi kłopotami finansowymi, to jeszcze są sfrustrowani tym, że nie mogą się pobyczyć na plaży. W końcu po to przyjechali nad morze – ocenia.

Pogodynki na celowniku

Co robić nad Bałtykiem, gdy nie ma pogody i nie można leżeć na plaży? Gdy wieje i pada, obłożone są nadmorskie kina. – Za to gdy tylko przygrzeje słońce, sala świeci pustkami – mówi Monika Graczyk, właścicielka ustckiego kina „Delfin”.

Osoby odpowiedzialne za promocję dwoją się i troją, by każdy, kto przyjechał nad morze, mimo braku słońca znalazł coś dla siebie. I co najważniejsze, chciał wrócić tu ponownie. – Naszą ofertę kierujemy zwłaszcza do młodzieży, bo to ona odpowiada nas najczęściej – mówi Anna Szyszka z Biura Promocji i Informacji Turystycznej w Mielnie. – Dużym zainteresowaniem cieszą się tętniące życiem przez całą dobę kluby muzyczne.

W klimatycznym Kołobrzegu turyści kuszeni są bogatą ofertą licznych spa i domów sanatoryjnych, a w Ustce aktywnymi formami wypoczynku. – Rowery, piesze wycieczki po malowniczych okolicach Ustki, nordic walking – wylicza dyrektor Wolski. – Sporym zainteresowaniem cieszą się również rejsy po Bałtyku.

Jadwiga Fudala starania samorządów kwituje krótko: – Na nic się to zda, gdy w telewizji na okrągło będą trąbić, że nad morzem jest zimno i pada. Nawet najbardziej wyszukane atrakcje nie zastąpią turystom słońca.

Jacek Cegła



– Tuż obok uważnych słuchaczy była „więzienna cela”



Wykonany przez więźniów smok „pracuje” w Szczecinie

Wystawa w Muzeum Ziemi Wałeckiej

Zrobione w celi

Poczęstunek – czarny chleb i czarna kawa. Zamiast nastrojowej muzyki – dźwięk klucza przekręcanego w zamku więziennego kraty.

Tak witano gości na wernisażu w wałeckim muzeum, które tym razem udostępniło swoje podwoje „Sztuce zza krat”. Na wystawie pojawiły się prace więźniów Zakładu Karnego w Wierchowiu: obrazy, modele statków oraz przedmioty wykonane z papier mache i gipsu. Część sali wystawowej oddzielona jest więzienną kratą. Za nią jest cela, w jakiej przebywają skazani. Prycza, drewniany stolik, stołek, plastikowe zielone sztuczce i taki sam talerz z kubkiem. Na poręczu więziennego łóżka wiszą ręczniki z napisem, który przypomina, że jest to własność zakładu karnego...

Przyjemność tworzenia

– Zajęcia kulturalno-oświatowe są jedną z metod oddziaływania wychowawczego w zakładach karnych, a dla wielu więźniów – sposobem na zabicie czasu, którego wszak mają bardzo wiele – wyjaśnia kpt. Violetta Patrzyńska, oficer prasowy Zakładu Karnego w Wierchowiu. Kontakt ze sztuką



Magdalena Suchorska-Rola, dyrektor MZW, dziękuje funkcjonariuszom straży więziennej za spotkanie

sprawia, że skazani uczą się nowych umiejętności albo odkrywają w sobie ukryte talenty. Wielu z nich dopiero w więzieniu zaczęło systematycznie czytać książki albo pierwszy raz usłyszało arię operową, gdy z gościnnym występem przyjechali artyści Opery na Zamku ze Szczecina. – Podczas tych zajęć pokazujemy im, jak można spędzać wolny czas. Oni zaś odkrywają radość tworzenia, gdy uda im się coś własnoręcznie zrobić – mówi kpt. Patrzyńska.

Ciągle pod nadzorem

Goście, którzy przyszli do wałeckiego muzeum, dopytują o szczegóły życia za kratami. Pra-

cownicy Zakładu Karnego mają dla widzów niespodziankę – film przygotowany przez „mieszkańców” więzienia. Okazuje się naprawdę interesujący. Na dodatek autorem filmu jest młody człowiek z Wałcza.

Kapitan Maciej Słomka, wychowawca ds. kulturalno-oświatowych z więzienia w Wierchowiu, mówi, że w zajęciach uczestniczą skazani, którzy tego chcą. – Bez znaczenia jest to, za co zostali skazani i jak długo będą odbywać karę – tłumaczy kpt. Słomka.

Wszelkie zajęcia artystyczne odbywają się pod okiem funkcjonariuszy służby więziennej. Instruktor terapii zajęciowej

nadzoruje artystów z pracowni oddziału terapeutycznego dla narkomanów. Zajęcia odbywają się wedle ściśle określonych grafików. W Zakładzie Karnym obowiązuje ustalony porządek dnia, który określa czas na pracę, zajęcia własne i odpoczynek.

Z więzienia do Muzeum Narodowego

Efektom wielomiesięcznych wysiłków więźniów z Wierchowa są prace, które zdobywają laury na rozmaitych konkursach. Szopka bożonarodzeniowa, nad którą grupa skazanych pracowała kilka miesięcy, została wyróżniona na konkursie szopek, zorganizowanym przez Zakład Karny w Czarnem, a potem pojechała do jednego z warszawskich kościołów. Wielki, ponaddwumetrowy smok był atrakcją jednej z ubiegłorocznych wystaw w wałeckim muzeum. Teraz w Muzeum Narodowym w Szczecinie zaprasza na wystawę o piernikach.

– Prace skazanych prezentujemy na więziennych konkursach i przeglądach, np. na ogólnopolskim konkursie sztuki więziennej w Bydgoszczy czy konkursie poezji w Sztumie – opowiada kpt. Maciej Słomka. Trafiają także na wystawy w pobliskich ośrodkach kultury czy na aukcje Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. – Na Dzień Dziecka grupa skazanych nagrała płytę z klasycznymi bajkami. Więźniowie sami je czytali. Płyty z bajkami były prezentami dla dzieci – mówi kpt. Słomka.

Te aktywności mają służyć rozwojowi, edukacji i resocjalizacji skazanych.

Beata Stankiewicz